

Zagadka? Jest. Groza? Jest. Język? Jest. Czytać? Tak. Na pewno? TAK!

JUL EYSKAWA

MACIEJ
PATERCZYK



CO ROBIĄ CIENIE, GDY NIE PATRZYMYSY

LIRA
WYDAWNICTWO

**CO ROBIĄ CIENIE,
GDY NIE PATRZYMY**

**MACIEJ
PATERCZYK**

**CO ROBIĄ CIENIE,
GDY NIE PATRZYMY**

L I R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68577-64-8

Hani.

Kiedy jesteś, jest maj i nawet wrony śpiewają.

Dzieciom: Jerzemu i Melanii.

Kiedy jesteście, jest głośno. Gdy Was nie ma — mnie nie ma.

*Półcienie są najprawdziwsze, a zatem najtrudniejsze
do namalowania — światło i mrok oddaje się łatwo,
ale w półcieniach każdy skrawek obrazu
stwarza nieograniczone niemal możliwości*

Jacek Dehnel, *Saturn*

*Pociągają nas szpary między deska-
mi podłogi — i tam znikamy*

Olga Tokarczuk, *Empuzjon*

*Wzajemne oskarżenie nie przyniesie żadnych wyjaśnień.
Mieliśmy ustalić fakty. I doszliśmy do przekonania,
że nikt z nas nie może być uwolniony od podejrzeń
Agatha Christie, *I nie było już nikogo**

WSTĘP

Elżbieta Denhoff

Na początku litery stały w równych szeregach. Po papierze przesuwwały się jedynie żółte smugi światła miejskich latarni oraz blednące cienie budynków i drzew. Był dwudziesty drugi grudnia, świt krótkiego dnia. Litery przy wewnętrznych marginesach miały pozostać niewidoczne przez całą podróż. Eli to nie przeszkadzało. Dopowiadała sobie to, czego nie była w stanie przeczytać. Budowała opisy, zagłębiała się w psychikę bohaterów, bez trudu tworzyła dialogi. Gdy spuszczała z krótkiej smyczy swoją wyobraźnię, ta biegła przed siebie, nie zważając na właścicielkę.

Faustyna siedziała obok, modliła się.

Matka i ojciec milczeli po kłótni. Matka chciała wziąć auto, nowego Bentleya, ale ojciec się uparł, by jechać pociągiem. Mówił, że w taką pogodę błotnistą drogę przed pałacem można pokonać tylko konno bądź pieszo. Matka zapytała więc, po co kupili tak drogi automobil, skoro wcale nim nie jeździli. Ojciec, już poirytowany, odpowiedział, że... Ele nie słuchała dalej. Przynajmniej starała się tego nie robić.

Drzwi przedziału otworzyły się dopiero przed Siedlcami. Konduktor nazwał Elę „zaczywaną księżniczką”, ale jego wzrok był utkwiony w matce dziewczynki. Skasowany bilet wpadł w zagłębienie książki. Dłoń Eli zaraz go przechwyciła i schowała do małej puszkki. Opadł cicho. O metalowe ścianki obity się za to fajansowa głowa lalki, kolorowe guziki, moneta, ptasie pióra i pojedynczy kolczyk. Artefakty. Prawdziwe skarby.

Gdy konduktor wyszedł, matka powiedziała, że dziewczyny w wieku Eli nie powinny trzymać w puszkach takich rzeczy.

Faustyna modliła się i nie wyraziła opinii.

Ojca interesowały już tylko gazety i sprawy stosunków polsko-niemieckich. Co kilka przeczytanych zdań podnosił zatroskaną twarz i przypatrywał się swojemu odbiciu w szybie. Podczas podróży nie odezwał się do córki słowem, choć siedziała naprzeciw.

Ela patrzyła przez okno, na morze czarnej ziemi. Wyobrażała sobie, że zagłębia się w podmorską ciemność na pokładzie Nautilusa i płynie w stronę kolejnej tajemniczej przygody, która...

Matka zainteresowała się książką leżącą na kolanach córki. Powiedziała, że powieści przygodowe nie są odpowiednią literaturą dla dziewczyn w jej wieku. W żadnym wieku.

Faustyna na chwilę zarzuciła modlitwę. Dodała, że jeśli Ela musi już czytać Verne'a, powinna to robić w oryginale, po francusku.

Ojciec nie miał opinii. Od rogatek Warszawy interesowały go tylko nowiny ze świata polityki i gospodarki. Trudno było stwierdzić, co przynębiało go bardziej.

W Siedlcach mieli przesiadkę. Drugi pociąg wyrzucał z siebie kłęby czarnego dymu i sunął dalej prosto na wschód. Pola ustąpiły miejsca sosnowym lasom, leszczynie i mokradłom. W nieckach pojawił się śnieg. Ela odczytywała nazwy coraz rzadziej pojawiających się miejscowości. Wszędzie na peronach tłoczyli się ludzie. Podróżowano na przedświąteczny targ. Palce dziewczynki wskazywały na zamknięte w klatkach króliki i kury, wózki pełne lisich futer czy niemogące się domknąć kufry z artykułami bławatnymi. Bagaże przekazywano sobie przez okna. Śmiano się, przekrzykiwano, żegnano. Wszystkiemu towarzyszył hałas cizby dzieci. Nikt nie zwracał uwagi na czerwieniejącego ze złości konduktora. Z każdej kolejnej stacji pociąg wydawał się ruszać z coraz większym trudem.

Ojciec odbity w szybie przysnął z pięścią opartą na policzku. Faustyna recytowała znane na pamięć wersy, jakby chciała nowy przedział czym prędzej wypełnić słowami modlitwy. Matka

milczała. Zwracała tylko uwagę na ślady, jakie Ela zostawiała na szybie.

W drugim pociągu byli jedynymi pasażerami podróżującymi pierwszą klasą.

Za Brześciem nad Bugiem przybyło śniegu. Słońce, cały dzień schowane za ciemną woalką, uciekło gdzieś na zachód. Matka milczała, ale jej ładne migdałowe oczy wodziły za każdym nieporadnym i niepotrzebnym ruchem córki. W jej mniemaniu każdy ruch Eli był nieporadny i niepotrzebny.

Ojciec udawał, że śpi, choć wcale już nie spał. Zamartwiał się. O czym myślał? Ela nie wiedziała. Gdyby miała go opisać, zaczęłaby od jego licznych zmarszczek na czole pogłębiających się z każdą minutą. Ale jeszcze nie chwyciła za pióro. Na razie tylko czytała. To, że kiedyś zostanie pisarką, wciąż było tajemnicą, z której zwierzyła się tylko Faustynie.

Faustyna zaczęła w końcu mylić słowa modlitwy, więc najpewniej przysnęła i mówiła przez sen.

Kiedy kilka tygodni wcześniej jej podopieczna zwierzyła się ze swych planów zostania powieściopisarką, długo milczała. Były pomiędzy nieudaną lekcją muzyki a powrotem do nauki łaciny. W salonie wciąż zdawały się wybrzmiewać ostatnie fałszywe nuty wygrane przez Elę na pianinie. Faustyna chrząknęła, położyła ręce na kolanach i przyjrzała się swoim palcom.

— O czym zamierzasz pisać? — spytała.

— Jeszcze nie wiem — odparła zaskoczona Ela. Spodziewała się, że zostanie zganiona. — Może o miłości.

— Co ty wiesz o miłości, moja droga.

— Jeszcze nic. Ale w końcu się dowiem. Chyba...

— Uważaj, o co prosisz. *Etiam in morte superest amor.*

— Słucham?

— No właśnie. Wracam do łaciny.

Ela układała kolejne opisy. Zdania powstałe w jej głowie przypominały kłęby dymu wyrzucane przez lokomotywę. Pojawiały się, by zaraz zniknąć. Przeniosła spojrzenie na matkę. Piękna. Ale

co to właściwie znaczyło? Ładna twarz, ciemna cera, kruczoczarne falujące włosy. Ale piękno matki tkwiło jakby w środku, w niej. Jak to zapisać? Kłęby dymu na niebie przybrały kształt znajomych liter. *Oczy i usta. Jakże one się od siebie różnią. Kiedy oczy matki patrzą na biednego robotnika żebrzącego o jałmużnę, bije od nich współczucie i ból, ale usta szepczą córce wciąż te same słowa: „Wszyscy decydujemy o swoim losie. Słabi nigdy się nie wzbogacą, właśnie przez swoją słabość”. Kiedy jej migdałowe oczy napotykają spojrzenie innego mężczyzny, odwraca wzrok. Usta szepczą lodowate słowa: „Uważaj na mężczyzn, są głupi i niebezpieczni. Wykorzystuj ich głupotę, ale nie zapominaj o tym, jak bardzo mogą cię skrzywdzić. Żadnemu nigdy nie zaufaj. Rozumiesz mnie, córko?”*

Ela przyjrzała się słowom za oknem. Rozmyły się i znikły w tyle. Czy te zdania były dobre? Czy miała dość odwagi, by zacząć je zapisywać? Skreślić zwrot „lodowate słowa”? Dlaczego miałyby się bać mężczyzn? Bardziej niż nauczycielek, wstrętnych, dokuczających jej dzieciaków, bezpańskich psów i komunistów? Zdaniem ojca najbardziej powinna bać się tych ostatnich.

Uchyliły się drzwi przedziału. Nowy konduktor powiedział, że za pięć minut dotrą do Kobrynia. Zaczęła się krzątanina. Ela na przekór wszystkim wróciła do Verne'a. Pięć minut to całkiem sporo.

Postanowiła, że nie będzie pisać książek o miłości, tylko powieści przygodowe. O bohaterskiej podróźniczce. Jeszcze nie powiedziała o tym Faustynie, ale to robi.

I sprawdziła w słowniku, co znaczy *etiam in morte superest amor*. Nic z tego nie rozumiała.

Woźnica zapytał, co taka mała dziewczynka może zrozumieć z tak grubej książki. Zażartował, że przez tak wielkie okulary Ela musi widzieć pół świata. Znał jej imię, choć nigdy wcześniej go nie spotkała. Woźnica znał też imiona jej rodziców, kłaniał się obojgu nisko. Ela chciała odpowiedzieć, ale nim otworzyła usta, mężczyzna stracił nią zainteresowanie. Jego oczy zatrzymały się

na matce dziewczyny, Zeldzie Denhoff, siedzącej teraz między bagażami, milczącej i zlej z powodu licznych niewygod. Wóz był odkryty, innych nie było.

Gdy woźnica pakował bagaże, odpadł mu jeden z guzików płaszcza, który szybko wylądował na dnie blaszanej puszki.

Nikt wówczas na Elę nie spojrział, nawet Faustyna.

Dziewczynie wystarczyły w życiu książki i zbieranie fantów.

Próbowała czytać na wozie, ale był to trudne, a gdy opuścili miasto — wręcz niemożliwe. Litery skakały. Słowa nie chciały ułożyć się w żadne sensowne zdanie. Ela zamknęła książkę i zdjęła okulary. W wielkich szklach pływały teraz odbicia ptaków na pochmurnym niebie. Jak ryby w wodzie.

Jej bohaterka będzie pokonywała morza i oceany, nie będzie się bała największych sztormów, piratów ani...

— Załóż je — poleciła Faustyna. Swoją modlitewnik zamknęła w tym samym momencie, co Ela książkę. — Siedź prosto.

— Dobrze się czujesz, córko? Nie gorączkujesz? — zapytała matka. — Pamiętaj, co mówili lekarze.

Lekarze mówili różne rzeczy. Starzy, których Ela bała się najbardziej, uważali, że za błądliwość dziewczyny i skłonność do częstych chorób odpowiada „słaby duch”. Przyglądali się jej ciału, mierzyli je i ważyli z mieszaniną współczucia i zdziwienia. Szeptali, że jest wyraźnie „niedojrzała fizycznie jak na swój wiek”. Zadawali matce na boku jakieś pytania, ale ta stanowczo przeczyła głową, zanim skończyli mówić. Młodszy lekarze chętniej osłuchiwali jej płuca i serce. Zalecali zmianę otoczenia i tłuste jedzenie. Ciekawiła ich asymetria ciała Eli. Słaby wzrok. Dziwne krosty. Jąkanie. Opóźnione dojrzewanie.

Ela w niczym nie przypominała własnej matki. Zelda bardziej wyglądała na jej macochę. I to z jakiejś przewrotnej baśni, gdzie macocha jest piękniejsza niż pasierbica.

— Jak dojedziemy na miejsce, zaraz coś zjesz. Musisz więcej jeść.

— Dobrze.

Eli łatwiej było przekonać matkę niż własny żołądek.

Ojciec siedział z przodu, obok woźnicy. Rozmawiali po polsku, ale co jakiś czas woźnica wtrącał kilka niemieckich słów. Wyповідаł je niepewnie. Patrzył wtedy wprost na Alfreda Denhoffa. W odpowiedzi ojciec Eli się uśmiechał, co czynił niezwykle rzadko.

Faustyna słuchała ich uważnie.

Matka tylko się krzywiła.

Na rzenie chudych i wymęczonych koni nikt nie zwracał uwagi.

Dom nie był domem. Był pałacem. Rósł powoli w oczach. Był skarbem na dnie morza, o którym kapitan Nemo nie mógł nawet marzyć. Każde skrzydło pałacu kończyło się wieżą. Do głównego wejścia prowadziły szerokie schody i kolumny. Ela nawet nie próbowała liczyć okien. Budynek był stary, w niektórych miejscach może nawet zniszczony, ale jej to nie przeszkadzało. W tak wielkim pałacu musi być...

— Nie wychylaj się! — pouczyła ją matka. — Poczekaj, aż się zatrzymamy. Pamiętaj, żeby się ładnie przywitać. To twój dziadek. Możesz go nie pamiętać. Widziałś go dawno temu.

Nie pamiętała. Jej trzewiki przeszły po zwirowym podjeździe i zaczęły się wspinać po kamiennych schodach. Wokół kolumn przy wielkich drzwiach owinęły się bluszcz i dzika winorośl. Nad wejściem widniał jeszcze herb — czarna głowa dzika, nad dzikiem korona, a nad nią jeszcze kolejny dzik przesyty dwoma oszczepami.

Znała ten herb. Czasem ojciec rysował go na marginesach gazet w salonie ich warszawskiego mieszkania. Gdy matka to widziała, krzywiła się nieładnie. Ojciec się peszył. Zasłaniał herb dłonią. Matka się śmiała i odchodziła. Ela myliła łacinę.

— Spójrz! — wołał ją wtedy ojciec. Jeśli przypominał sobie o córce, to właśnie w takich chwilach. — Dzik wydaje się trudny do namalowania, ale to nieprawda. Korona jak u królowy. No i oszczep. Spróbuj raz jeszcze. Przecież to łatwe...

Drzwi do pałacu zaskrzypiały. Ukazał się w nich wysoki mężczyzna, a wiatr natychmiast porwał poły jego zniszczonego surduta. Starzec trzymał w dłoni zapaloną lampę naftową. Zmierzchało już. Jego oczy, pozbawione sympatii, a nawet ciekawości, przesłizgnęły się po wszystkich gościach.

Ela się przestraszyła. Pamiętała, że miała coś powiedzieć. Ale właściwe słowa rozpierchły się gdzieś, przepadły. Jak zawsze, gdy ich potrzebowała.

— Witaj, dziadku. Jak minęła podróż? Dobrze. Znaczy ty zapytasz i ja ffftedy...

— Przestań — odezwał się ojciec. Rozdrażniony, tym razem nie polityką, tylko nią. — To tylko służący. Dzień dobry, Iwanie. Gdzie ojciec?

— Odpoczywa. — Starzec przemówił głosem zimniejszym niż podmuch wiatru. — Dziś nie czuje się najlepiej. Zaraz poinformuję go o państwa przyjeździe.

Ojciec minął służącego i wszedł do środka. Ten ruszył za nim, jakby nie interesowali go pozostali goście i ich bagaże. Ela, zaskoczona własną odwagą, przemówiła raz jeszcze:

— Czy w tym pałacu jest biblioteka? — zapytała.

Musiała być. Wyobraziła ją sobie, gdy tylko zobaczyła zarys głównego budynku, jeszcze niewyraźny, jakby patrzyła na stary dagerotyp.

— Córko, nie czas na takie pytania — odezwała się za jej plecami matka, opatulając się czarnym futrem z gronostajów. — Wejść czym prędzej do środka, przeziębisz się.

Służący ponownie wyłonił się z mroku. Pochylił się, przybliżył lampę do twarzy Eli. Przyjrzał się jej uważnie. Podobnie patrzyli na nią lekarze, kiedy odkrywali u niej kolejne schorzenie lub wadę. Cofała się wtedy, przywierała do zimnych ścian lekarskich gabinetów lub chowała za parawanami. Teraz nie ruszyła się z miejsca.

— Jest — przemówił służący. — Może znajdziesz tam coś dla siebie. Ale najpierw musisz zobaczyć własnego dziadka. Pewnie nawet go nie pamiętasz, co? A on wciąż o ciebie pyta.

Po tych słowach mężczyzna znikł w ciemnym hallu. Był obojętny na wezwania woźnicy, który zażądał pomocy z bagażami. Nikt więc nie wyszedł ich przywitać.

Ela znów zadarła głowę i spojrzała na herb. Dziki przeszyty dwoma oszczepami...

— Widziałaś większy pałac, Faustyno? — zapytała.

Nie usłyszała odpowiedzi. Faustyna zrobiła kilka niepewnych kroków na schodach, po czym potknęła się i upadła. Jej dłonie zacisnęły się na suchych i łamliwych pnączach winobluszczu. Dźwignęła się wolno, z trudem. Zapewniła swoją pracodawczynię, Zeldę Denhoff, że wszystko w porządku, potrzebuje tylko chwili na złapanie oddechu. Ela chciała do niej podejść, ale matka pociągnęła ją do środka. Jak najdalej od wiatru, zimna i wilgoci.

Ela odwróciła się po raz ostatni. Zobaczyła gazon poryty śniegiem, na którego tle wyraźnie odbiła się pochylona sylwetka Faustyny. Guwernantka oddychała ciężko. Dalej, po lewej stronie, rósł zagajnik. Eli wydało się, że zobaczyła tam człowieka. Stał w odległości jakichś stu metrów, tuż przed linią pierwszych drzew. O ile wzrok jej nie oszukał. Zamrugała. Sylwetka znikła. Zostały tylko kraczące w locie wrony. Piraci nieba.

Ela znalazła bibliotekę. Spędziła w niej cały wieczór. Skryła się za dwoma fotelami i zarzuconym na nie kocem. Od strony wejścia do biblioteki światło jej lampy było niewidoczne. Słyszała nawoływania matki i ojca, ale nie odpowiedziała ani razu. Dopiero gdy usłyszała kroki Faustyny, zrozumiała, że zostanie znaleziona.

Guwernantka stanęła tuż przed jej kryjówką. Podniosła koc.

— Skąd wiedziałaś, że tu będę? — zapytała Ela.

— Zawsze jesteś tam, gdzie książki. Do tego lubisz kryjówki.

— Matka mówi, że są dziecinne...

— Zaraz będzie kolacja. Musisz się przygotować. Przyjechali kolejni goście. Powinnaś się pokazać.

— Mogę tu jeszcze zostać? Proszę.

— W tym domu są myszy.

— Nie boję się myszy!

— Na Boga, oczywiście, że się ich boisz. Ale dobrze, zostań jeszcze kilka minut.

— To pałac, a nie dom, Faustyno.

— Niech ci będzie.

— Widziałaś większy pałac? — Dziewczyna powtórzyła pytanie sprzed kilku godzin.

— Tak.

— Kłamiesz!

Guwernantka miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, ale teraz na przeciwległej ścianie pełnej poroży i wypchanych zwierząt kładł się jej kilkumetrowy cień. Po jednej stronie pomieszczenia były książki. Po drugiej — myśliwskie trofea.

— Faustyno...

— Tak, dziecko?

— Co się stało tam, na schodach? Wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha...

Krótki śmiech, wymuszony.

— Zasłabłam. To była długa podróż. To wszystko. Ale już mi lepiej. Dziś masz jeszcze wolne, ale jutro wracamy do nauki. Nic, że są ferie. Dużo chorowałaś. A jeśli matka się dowie, w jakim siedzisz zimnie!

— Kilka minut, obiecałaś!

— Niczego nie obiecałam — powiedziała Faustyna groźnie, ale zaraz złagodniała. Uśmiech odjął jej lat. Jakby zaskoczona własną reakcją, cofnęła się poza krąg wątego światła. — I nie zapomnij zabrać stąd swojej puszki i ukrytych tam skarbów. Dziś chyba mocno się wzbogaciłaś, prawda?

— Mama mówi, że jestem za duża na takie zabawy.

— Po co narzekasz na to, co mówi twoja matka, jak i tak jej nie słuchasz? I widziałam tytuły książek, które wyjęłaś z półek. Nie myśl, że pozwolę ci je zabrać. To są książki dla dorosłych.

— Sama mi kiedyś powiedziałaś, że...

Faustyna wyszła z biblioteki.

Po kilku minutach drzwi zaskrzypiały ponownie. Ela chciała już wstać, ale usłyszała odgłos ciężkich kroków, których nie znała. Wyrzała poza oparcie fotela i dostrzegła służącego, Iwana. Szedł powoli, kłął pod nosem. Zatrzymał się w połowie biblioteki, nie podszedł do książek, tylko stanął pod przeciwległą ścianą. Podniósł lampę i oświetlił wielkie poroże jelenia. Chwyił je, stęknął.

Odwrócił się. W ciągu kilku sekund wypatrzył Elę.

— Co ty tu robisz!?! — zapytał rozłoszczony.

— Ja... przepra-sza-szam... tylko siedziałam i czy-czy-tałam. — Ela natychmiast poczuła, jak jej oczy wypełniają się łzami.

Nie zastanawiała się dłużej, zostawiła wszystkie książki, chwyciła swoją blaszaną puszkę i wybiegła z biblioteki.

Co zdradziło jej obecność? Może lampa, choć ukryta, rzuciła na ścianę o jeden cień za dużo? Co właściwie służący zamierzał zrobić w bibliotece? Po co zdejmować poroże ze ściany? Po co w ogóle wieszac poroża, kiedy można stawiać książki?!

Bohaterka jej powieści, odkrywczyni, była piratka, wszędzie będzie podróżowała z książkami. Jej tragarze będą dźwigać encyklopedie w twardych obwolutach. Nie będą mieć broni. Z tych książek nauczy ich, jak w dżungli znaleźć jedzenie, które owoce są jadalne, a które trujące. Z książek dowiedzą się, gdzie na pustyni jest woda.

Ale jak już zawiesza się coś tak niepotrzebnego jak poroże, to po co to zdejmować po kryjomu?

Zastanawiała się nad tym wieczorem, leżąc w łóżku. Nic nie wymyśliła. Matka by wiedziała. Ojciec by wiedział. Faustyna by wiedziała. Ale nie ona.

Co właściwie oznaczał „słaby duch”? A zwrot „niedojrzała jak na swój wiek”?

Okryła się szczelniej kołdrą. Wsłuchiwała się w chrobotania i drapania za ścianą. W pałacu rzeczywiście były myszy. I fakt, bała się ich trochę.

Z dołu przez liczne szpary w deskach doszedł do niej zapach tytoniu i urwane fragmenty rozmów dorosłych, nudne jak zawsze. Na piętrze została z nią tylko Faustyna, z którą dzieliła pokój. Guwernantka siedziała na fotelu w kącie pokoju, daleko od okna. Nie modliła się, a więc o czymś myślała.

— Faustyno...

Cisza.

— Śpisz?

— Ty śpij, dziecko. I odłóż tę książkę. W tym półmroku i tak niczego nie przeczytasz.

— Tam, na schodach, gdy przyjechaliśmy...

— Nie chcę o tym rozmawiać, śpij.

— Wydało mi się, że kogoś zobaczyłam. Stał daleko i patrzył na pałac. Na nas.

— Pałac jest ładny, nie powiem. Można się zapatrzyć. To nic ważnego. Zapomnij o tym, śpij.

Ela przewróciła się na drugi bok. Była pewna, że nie zaśnie. Chciała rozmawiać, ale skoro nie mogła, postanowiła marzyć. Znow spuściła ze smyczy swoją wyobraźnię. Kapitan Nemo był stary, nie będzie wечно dowodził Nautilusem. Kto po nim obejmie dowodzenie? No kto? Może kobieta?

Pościel pachniała, jakby ostatnie dziesięć lat przeleżała na dnie kufra w towarzystwie moli i kurzu. I pewnie tak było. Puszka ze skarbami leżała na dnie szafy wśród martwych owadów z długimi odnóżami i napęczniałymi odwłokami. Powinno to wzbudzić w niej wstręt, ale — o dziwo — tak się nie stało. Za to jej wyobraźnia niczym oszalały pies biegała dookoła i ciągnęła za smycz.

Ela zasnęła szybko i spała dobrze.

Za oknem przez całą noc dosypywało śniegu.

Pod choinką w Wigilię Bożego Narodzenia czekała na Elę maszyną do pisania i ryza papieru. Ela nie mogła w to uwierzyć. Była zachwycona. Wyczuwała matkę i podziękowała ojcu.

Zabrała maszynę na górę, nałożyła papier za cylinder i zaczęła pisać. To było prostsze, niż myślała. Maszyna była niemieckiej produkcji, firmy Kappel, i nie miała polskich znaków — ojciec w biurze fabryki pisał tylko na takiej — ale wcale jej to nie przeszkadzało. Pisała całą noc. Całą zimę. Gdy skończyła się ryza papieru, nawijała za cylinder maszyny obrusy i piękne suknie matki.

To był tylko sen. Przyjemny, bo pościel z dna kufra mogła przynieść wyłącznie dobre marzenia sennie. Tak naprawdę pod choinką czekały na nią tabliczka czekolady zawinięta w pozłotko, kula śnieżna, białe ocieplane rajstopy i lala. Lalę rozebrała i ubrała ponownie na oczach wszystkich zgromadzonych przy świątecznym stole. Potem ją uczesała. A gdy nikt nie patrzył, oderwała jej guzik.

W wigilijną noc Ela powiedziała Faustynie, o czym będzie jej pierwsza książka. Wspomniała o bezimiennej jeszcze podrózniczce i tragarzach uginających się pod ciężarem ksiąg.

Faustyna nie zaprotestowała. Doradziła tylko, by choć kilku tragarzom dać broń.

— Sama z czasem dojdiesz do takiego wniosku. Czasem trzeba sięgnąć po broń. Czasem tylko o tym myślisz...

— Słucham?

— Nieważne, dziecko. Nie zawsze trzeba mnie słuchać... — Zrobiła pauzę. — Może w przyszłym roku znajdziesz pod choinką to, o czym marzysz.

— Skąd wiesz, o czym marzę, Faustyno?

Ta popatrzyła na nią mądrymi oczami.

— Dziecko moje kochane, śpij już.

Było już dawno po północy i pasterce. Myszy w ścianie nie przemówiły ludzkim głosem. Skrobały i piszczaly to, co zawsze.